

**PTSR Oddział Wielkopolska zaprasza w dniach 10.08 – 13.08. 2010 na:
Mityng – Wityng – Mikorzyn 2010**

imprezę integracyjno-rekreacyjno-turystyczną

Taką informację przeczytałem na stronie internetowej www.ptsr.home.pl/poznan

Niezwłocznie nacisnąłem odpowiedni przycisk na klawiaturze komputera i zapisałem się do uczestnictwa w tej imprezie. Gdzie byłem oraz co widziałem i słyszałem wszystkim opowiem. Podczas oglądania zdjęć oczy należ mieć szeroko otwarte, aby nie przegapić żadnego szczegółu. Jednak treść należy czytać z dużym przymrużeniem oka.

A zatem zacznijmy od samego początku. Dzień pierwszy – wyjazd.

SM-mowcy są zdyscyplinowani i wyznaczonym czasie stawiają się przed Poznańskim Ośrodkiem Specjalistycznych Usług Medycznych przy Al. Solidarności 36. Miejsce korzystne, gdyby ktoś szwankował na zdrowiu wsparcie szybkie, bowiem pomoc medyczna NFZ na doczekaniu.



Nagle pod ośrodek zdrowia podjeżdża autokar. Jednak nikt nie kwapił się, aby zajmować miejsce w autobusie. Prawdopodobnie z obawy by nie wsiąść do innego pojazdu i nie pojechać w nieznanym kierunku. Dopiero Danusia zdecydowanym ruchem niczym generał przed rozpoczęciem batalii i podała komendę „wsiadamy”. Na te słowa drzwi pojazdu otworzyły się niczym wrota do bram miasta a boki uniosły się jak skrzydła łabędzia przed lotem. Żaneta z Agnieszką zlustrowały, kto i ile zabrał walizek. Zapewne myślały, że zabrały dla siebie za mało bagażu. Nie minęła chwila a wszyscy wraz z ekwipunkiem byli na swoich miejscach niczym żołnierze w łodzi desantowej. Jeszcze rzut okiem czy wszyscy wsiedli. Przez chwilę drżeliśmy czy Julia chce wejść do autobusu przez tylnie wejście. Kiedyś w czasach PRL na zakupy wchodziło się z tyłu sklepu, ale teraz nie ma takiej potrzeby. Julia ostatecznie znalazła się w autobusie na siedzeniu.



Wszyscy wygodnie rozsiedli się na swoich miejscach i czekają na sygnał do odjazdu. Oświadczam, że nikt nie siedział nikomu na kolanach. Porządku pilnował Waldek. Należy podkreślić, iż znał się na tej robocie jak nikt z nas. Na pewno nie raz już usadził kogoś na właściwym miejscu. Waldek niczym stewardesa - powiedzmy steward - pilnuje, aby każda z dziewcząt miała prawidłowo zapięty pas i żeby przechodził równo środkiem pomiędzy piersiami. Chłopcom nie poświęcał tyle czasu i krótko po

żołniersku wydał rozkaz „pasy zapiąć!”. Wszystkie buzie radosne i uśmiechnięte. Jeszcze szepty i komentarze. Wreszcie Danusia niczym starter na wyścigach podała komendę „jedziemy – panie szofer gazu” i wskazała kierunek jazdy – „do przodu” – jak by można jechać do tyłu. Silniki i klimatyzacja są na wysokich obrotach. W zgiełku rozmów słychać jakby ktoś podpowiadał kierowcy „niech pan jedzie *prawą stroną*”. Przecież kierowca wie, że to nie Londyn i jesteśmy na naszej wielkopolskiej ziemi a tu jedzie się tylko po prawicy. Kierowca uważnie obserwował znaki drogowe, aby nie zabłądzić. Podróż zeszła bardzo szybko, bowiem pojechaliśmy na skrót – autostradą. Nawet nikt nie zdążył zmrużyć oka a już wysiadaliśmy w Mikorzynie.

Jesteśmy na miejscu.



Ośrodek Szkoleniowo-Wypoczynkowy Wityng Sp.z o.o. Mikorzyn k. Konina <http://www.wityng.pl>

W oczekiwaniu na przydział kwater wszyscy ulokowali się w zacienionym miejscu. Nikt nie przejawiał zniecierpliwienia. Bożena ze spokojem oczekiwała na przebieg wydarzeń, które rozgrywały się za jej plecami. Danusia z opanowaniem wytrawnego stratega wraz z Elą dopracowała ostatnie szczegóły z kierownictwem ośrodka. Jak zawsze towarzyszył im tłum ciekawskich.



Julia i Żaneta po wstępnych konwersacjach były już pełne radości. Natomiast Danuta (żółta bluzeczka) składała szybki meldunek swojemu przełożonemu (a może mężowi), że jest już na miejscu tylko jeszcze nie wie, z kim jej przypadnie dzielić pokój. Stasiu był tak spokojny aż założył ręce niczym Napoleon po zwycięskiej bitwie. Pozostałe dziewczyny pełne radości również oczekiwały, kto im przypadnie pod jeden dach. Jedynie Agnieszka skupiła się nad swoim sprzętem fotograficznym niczym wytrawny paparazzi jakby była żądna zrobienia najlepszego zdjęcia prasowego i tym sposobem trafić na pierwsze strony gazet. Wojtek szybko zlustrował teren i czym prędzej według odgórnego zestawienia z wielkim spokojem oznajmił, kto, z kim, do jakiego domku. Wyraźnie zaznaczając, aby do łóżek wszyscy kładli się pojedynczo, bowiem na każdego przypada jedno łóżko i nie ma powodów, aby się dusić we dwójkę czy też we troje na jednym pościeliu. Niewiadomo czy go posłuchali, ale lokalna prasa nic na ten temat nie pisała.



Wszyscy błyskawicznie opanowali swoje przydziałowe posesje, czyli domek dla sześciu osób a w każdym trzy malutkie przytulne pokoje dla każdej parki jeden. Zamknijmy drzwi od sypialni i więcej tam nie zaglądamy. Przykryjmy wszystko przytulną kołderką i przejdźmy do przedpokoju. Danusia z szarfą (dużo tych Danusiek), Kazia, Stasiu i Janusz rozgościli się na dobre. Kazia pierwsza zajrzała do łazienki. Jednak to nasza nieoceniona Danka stwierdziła, że w łazienkach niezbędne są uchwyty. I co? Tyle mówi się o usuwaniu barier architektonicznych a nam niemal na doczekaniu założyli takie barierki. Od tej pory w tym pokoiku „zwierzeń” mieliśmy prawdziwy tron królewski.

Na tę imprezę przyjechaliśmy by jak najwięcej przebywać na świeżym powietrzu i dlatego nikogo nie trzeba było namawiać do wyjścia na taras przed domek. Jak na komendę wszyscy wychodzą.



W domku nr 7 skoro świt wszystkie dziewczyny w strojach wieczorowych wychodzą na zewnątrz, a może były to stroje wieczorowo-nocne. W każdym razie bardzo elegancko w nich się prezentowały. Natomiast w domku obok dziewczyny ustawiły się jak gdyby były na trybunie honorowej i za chwilę miałyby odbierać pochód pierwszomajowy. Na szczęście PRL już się skończył a dziewczyny majestatycznie robiły głębokie oddechy, aby zaczerpnąć w płuca jak najwięcej świeżego powietrza. Domek nr 9 niemal zawsze ze stoickim spokojem oczekiwał aż zatrąbią sygnał na obiad. Idąc na pierwszy posiłek raźnie sobie podśpiewujemy „hej ho, hej ho na obiad by się szło...” i wszyscy przy stole zjawiamy się w komplecie.



Droga do zdrowia nie prowadzi przez aptekę, ale przez kuchnię

Do jedzenia nie trzeba było nikogo namawiać. Pierwszego dnia posiłki spożywaliśmy w skrzydle południowym, czyli „Sala Złota”. Później opanowaliśmy „Salę Bordową”. Przy pierwszym posiłku

Danusia nakreśliła gdzie i kiedy odbędzie się wspólne spotkanie. Trzeba powiedzieć, że Danusia nie musiała dwa razy powtarzać i prosić o ciszę. Gdy tylko odezwała się momentalnie wszyscy odkładali łyżki, noże i widelce a na sali zapanowała cisza jak makiem zasiał. W skupieniu słuchaliśmy każdego jej słowa jakby to było zwiastowanie dobrej nowiny przez anioła.



Zgodnie z planem na oficjalne spotkanie informacyjno-integracyjne zebraliśmy się w wielkim namiocie niczym Indianie w wielkim wigwamie. W tym okresie słońko grzało mocno a pod czasą tego wigwamu nie było żadnego podmuchu wiatru. Nagle ktoś z tłumu odważnie rzucił hasło „idziemy na zewnątrz”. W pierwszym momencie wyglądało to na bunt, ale jak to w zwyczaju bywa SM-owcom dwa razy nie trzeba powtarzać i wszyscy byliśmy już na otwartej przestrzeni. A tam słychać było bzykanie świerszcza i pszczołek oraz śpiew ptaszków jakby na nasz widok wszystkie razem rozpoczęły swój wieczorowy koncert.



Na tym inauguracyjnym spotkaniu Danusia pokazała swoją moc. Po krótkim zagajeniu niczym szaman wielkiego plemienia SM-mowców wyzwoliła w nas wszystkich moc aż zrobiła się sielankowa atmosfera. Każdy kolejno opowiadał o sobie jak gdyby był pod wpływem czarów lub pod działaniem oszałamiających ziół. Nikt nie miał żadnych tajemnic i każdy mówił szczerze jak w hipnozie. Od czasu do czasu przeszedł po wszystkich radosny pomruk – *KOCHAMY CIEBIE!!!*

Dzień drugi, – czyli radość o poranku.

Pobudka! Czas otrząsnąć się z nocnego letargu i zgodnie z programem należy rozpocząć gimnastykę. W wojsku mówią, że to zaprawa poranna. A zatem zaczynamy.



Wszyscy stanęli w wielkim kręgu. Każdy szukał pierwszych porannych promyków słonecznych, aby się wygrzać. Jednak Ela prowadząca te zajęcia nie pozwoliła długo czekać w bezruchu. Najpierw dziewczyny nabrały powietrza w płuca a przy tym ich piersi tak się uniosły, aż Wojtek z wrażenia zapomniał oddychać. Wszystko wróciło u niego do normy przy innych ćwiczeniach. Dziewczyny zaczęły ćwiczyć wymachy ramion jakby policjantki kierowały ruchem na skrzyżowaniu ulic. Następne zajęcia o poranku przeniosły się już w zacienioną alejkę przed domkami. Zawsze na środku drogi stała Żaneta z

Agnieszką to tak jakby był ustawiany na tej trasie znak drogowy „stop” i „zakaz wjazdu”. Kierowcy reagowali na nasze kobiety z całą powagą i na widok ćwiczących niewiast żaden nie próbował dalszej jazdy. Gdy Ela nakazała dziewczynom ćwiczyć skłony wówczas nie chcieli oni ruszyć się z miejsca pomimo zachęty do jazdy.

Po intensywnych ćwiczeniach wypada zjeść małe, co nieco, czyli delikatne śniadanie.



I tak zaczęły się posiłki w „Sali Bordowej”. Jesteśmy w Polsce a na śniadanie i kolację stół szwedzki. Ciężki wybór, czego by tu spróbować. „Jeść czy nie jeść” oto jest pytanie a może tylko popatrzeć. Lecz od patrzenia jeszcze nikt nie był syty. Ktoś obserwujący z boku pomyślałby, że niektórzy jedzą dwa lub trzy śniadania. Czy tak było? Zdecydowanie NIE! Wypada podkreślić, iż przy tak zorganizowanych śniadaniach i kolacjach było widać pełną integrację, bowiem wiele osób zasiadało za stołem a inni pomocną dłońią podawali śniadanko czy kolację. Każdemu według potrzeb i życzeń.

Po śniadaniu czas wolny i chwila relaksu. Zatem wybierzmy się na plażę i zażyjmy trochę rozkoszy.



Nawet na plaży wszyscy wzajemnie sobie pomagali jak tylko, kto mógł. Czy coś zapiąć lub odpiąć. Jedni zażywali kąpieli słonecznych, inni natomiast próbowali swoich sił w wodzie, czyli ćwiczenia na mokrym terenie. Podczas kąpieli trzeba podkreślić rolę Waldka, który znakomicie wtopił się pomiędzy boje i żadnej dziewczyny nie wypuścił na szeroką wodę, czyli tylko w brodziku. Mało tego na pomoście czuwał Wojtek niczym lew morski, aby jakiś obcy konkurent nie zbliżył się do naszych dziewczyn. Powiedzmy sobie szczerze zachowywał się jak pies ogrodnika.

Jeszcze doskonale pamiętaliśmy smak obiadu jak dotarła do nas silna grupa zaprzyjaźnionego PTSR z Oddziału Konin. Spojrzeliśmy na siebie i już wiedzieliśmy o sobie prawie wszystko, można by powiedzieć sami swoi.



Wszyscy różnym krokiem podążamy do portu, powiedzmy na pomost, gdzie przycumował statek o nazwie „Pawełek”. Na statek mieliśmy zaokrętować się wchodząc po trapie jak to przystało na prawdziwych marynarzy. Jednak nikt nie przypuszczał, że będziemy zdobywać okręt przez burtę jak piraci. Przy wsiadaniu i wysiadaniu na statek pomoc okazali nam opiekunowie SM- masowców z Konina. To oni na swoich ramionach niczym Pegazy na skrzydłach unosili nas na pokład statku. W tym czasie kapitan tej łajby wraz z bosmanem mocno trzymali swój okręt, abyśmy nie odpłynęli bez nich. Oczami mojej wyobraźni już widziałem artykuły w lokalnej prasie: „Zorganizowana grupa niepełnosprawnych osób uprowadziła statek małej floty” lub „Piraci na wózkach uprowadzili statek”. Ale czy ktoś by w to uwierzył. Wracajmy do rzeczywistości. Opanowaliśmy cały statek i byliśmy wszędzie. Każdy ulokował się dogodnie i wygodnie. Bosman odwiązał cumy i kotwica poszła w górę. Kapitan dał komendę, odbijamy! Cała naprzód! Płyniemy.



Na szczęście statkiem nie kołysze i śmiało możemy przejść się po pokładzie. Tylko nie wychylać się za burtę. Zaczniemy od przodu statku, który jak u ptaszka nazywa się dziobem. Na tym stanowisku wszyscy wypatrywali czy podczas rejsu nie trafimy na górę lodową i nie przytrafi się nam przygoda jak na Titanicu. Wandzi tak mocno utkwiała kultowa scena z filmu „Titanic”, że od razu stanęła w odpowiednim miejscu i szeroko rozłożyła ramiona w oczekiwaniu na dalszy bieg wypadków. Od razu uspokójmy czytelnika – nie zderzyliśmy się z górą lodową i szczęśliwie suchą stopą przybiliśmy do brzegu. Niektórzy z natłoku wrażeń chwyтали się za głowy. Z przodu panował sielski spokój, ponieważ kapitan okrętu miał wszystkich przed sobą i nie spuszczał z nich oka. Natomiast całkiem inne wydarzenia rozgrywały się na rufie, czyli z tyłu statku i w dodatku na górnym pokładzie.



Znaczna część dziewcząt była bardzo spokojna i siedziała na ławce niczym uczennice w szkole przed egzaminem. Nie bójmy się powiedzieć prawdy, na górnym pokładzie było bardzo wesoło. Co tak wprawiło dziewczyny w wesoły nastrój? Czyżby kapitan zaserwował każdemu po szklaneczce rumu dla rozgrzewki ależ nie, bez tego było gorąco. Wszyscy myśleli, że kapitan z bosmanem zaintonują żeglarskie szanty, lecz ku zdziwieniu pasażerów z głośników popłynęła piosenka biesiadna. Ludowe przyśpiewki nie spowodowały kołysania statkiem, lecz pobujały tylko dziewczyny. Pasażerowie górnego pokładu byli całkowicie wyluzowani i mieli dużo miejsca do tańczenia. Całkiem inaczej niż na lewej i prawej burcie.



Na burtach atmosfera była bardzo sielska można by rzec wręcz domowa a Kazia przez moment poczuła się jak przy domowym kominku. Janusz niczym bosman wszystko miał na widoku, ale na wszelki wypadek wolał się trzymać gdyby sternik zrobił ostry skręt. Danka z Madzią wiedziały doskonale jak pozuje się do zdjęcia jakby już miały nie jedną sesję zdjęciową do pisma Viva. Natomiast Joli stojącej za Danusią ktoś przyprawił rogi. Ale czy słusznie? Chyba nie. Wojtek w tej czapeczce marynarskiej wyglądał jak prawdziwy majtek, który zaraz będzie szorował pokład. Podczas wsiadania na statek kapitan obawiał się, że nie ma tyle kół ratunkowych. Wojtek ze spokojem powiedział: „Kół ci u nas dostatek” – jak mówił – sam zabrał cztery.

Wreszcie jest czas, aby spojrzeć za burtę, co dzieje się na wodzie. Widokiem na naszą plażę pożegnaliśmy ląd. Później na wodzie spotykaliśmy żaglówki i inne pojazdy wodne. To, co widzieliśmy zostawiam bez komentarza, o tym nie da się opowiadać to trzeba zobaczyć. Widoki podziwialiśmy na siedząco a przy zachwycie nawet na stojąco.



Po rejsie możemy powiedzieć, iż żadnego sztormu nie przeżyliśmy i nikt nie miał choroby morskiej. Pełni wrażeń przybiliśmy do portu.

Po wodnej wyprawie nawet nie trudziliśmy się na stołówkę. Jadłodajnia przyszła do nas na samą plażę. Jak w bajce wypowiedzieliśmy zaklęcie „stoliczku nakryj się” a na stołach nakrytych obrusami zjawiały się same smakołyki. A nad wszystkim czuwał wysłannik szefa kuchni.



Nie będę opowiadał, co jedliśmy i piliśmy zajęłoby to zbyt dużo czasu a wszelakiego jadła było jak w Krakowie na królewskiej uczcie u Wierzyńka. Nie rozbudzając wielkiego apetytu powiem krótko stracili ci, co na uczcie nie byli. Nawet nie spostrzeżliśmy jak zapadły ciemności i pora iść spać. Nic z tego, teraz

dopiero zaczynała się główna atrakcja tego wieczoru. Wkrótce znaleźliśmy się wokół ogniska zaczynając śpiewy od melodii „*plonie ognisko...*”



Jak przy każdym ognisku nie obyło się bez pieczenia smakowitych kiełbasek. SM-mowcy z zaprzyjaźnionego koła SM z Konina najchętniej zostaliby z nami do białego rana. Cóż robić na pożegnania przyszedł czas. Odjeżdżającym do Konina wskazywaliśmy właściwą drogę a gdy ktoś skręcał z trasy wówczas donośnie i z całego serca podpowiadaliśmy „*nie idź tą drogą*”.



Podsumowanie atrakcji z całego dnia przenieśliśmy bliżej naszych kwater, aby po ciemku nikt nie zablądził. Takie podsumowanie mieliśmy każdego wieczora. Jednak tym razem nie mogliśmy doczekać się następnego poranka, bowiem głównym gwoździem programu miał być wyjazd do Lichenia.

Dzień trzeci – coś dla ducha, czyli wycieczka do Lichenia.

W Mikorzynie być i cudownego obrazu w Licheniu nie widzieć ... Tego byśmy sobie nie darowali. Po śniadaniu zajeżdżał po nas autobus pamiętający czasy PRL i kierowca jakby też z tej epoki. W Licheniu wysadził nas na parkingu oddalonym od bazyliki o małe kilka wiorst. Trasę z parkingu do bazyliki pokonaliśmy w pieszej pielgrzymce. Na drugi brzeg szosy dostaliśmy się nie ponosząc żadnych strat w ludziach i sprzęcie.



Niezastąpiona Ela natychmiast udała się w okolice pomnika Jana Pawła II i tam o wyznaczonej godzinie na umówione hasło miała spotkać przewodnika. Wszystko było tak zakonspirowane aż nie wypadało pytać, jakie było to hasło. A może powszechnie znane hasło z konspiracji jak: „*Najlepsze kasztany są na placu w Licheniu...*”. Pani przewodnik zjawiała się jak meteoryt i od razu sprawnym okiem wszystkich zlustrowała. Stwierdziła, że nie będziemy dużo chodzić i bez zwłoki czasu zaczęła opowiadać o bazylice. Dowiedzieliśmy się kilku szczegółów: *Jest to największa świątynia w Polsce, ósma w Europie i dwunasta na świecie; światło wpada do wnętrza przez tyle okien, ile jest dni w roku – 365; do środka można wejść przez tyle drzwi, ile rok ma tygodni – 52; do kościoła prowadzą 33 stopnie nawiązujące do lat życia*

Jezusa Chrystusa na ziemi oraz że na szczycie 141 metrowej wieży znajdują się dwa tarasy widokowe a widoczna z daleka kopuła bazyliki ma 25 m średnicy i 45 m wysokości.

Po garści pierwszych informacji wchodzimy do środka. Najpierw podążamy do części, w której mieści się muzeum. Tu dowiadujemy się wielu szczegółów na temat cudownego obrazu Matki Boskiej.



Objawienia Matki Boskiej doznał szlachcic Tomasz Kłossowski pochodzący z Izabelina koło Lichenia. Szlachcic podczas bitwy pod Lipskiem w 1813 roku został ciężko ranny i był bliski śmierci. Żołnierz Tomasz Kłossowski nie chciał umierać w obcym kraju, więc modlił się i prosił Boga, aby pozwolił mu powrócić do Polski i umrzeć w ojczyźnie. W pewnym momencie objawiła mu się Matka Boska i poinformowała go, że zostanie on uzdrowiony i powróci do Polski. Po cudownym powrocie do kraju pan Kłossowski odnalazł wizerunek Matki Boskiej, kiedy wracał z pielgrzymki do Częstochowy. Zabrał ten Cudowny Obraz i powiesił na drzewie w grąblińskim lesie.

W 1850 r. Matka Boska objawiła się Mikołajowi Sikatka i wezwała Polaków do nawrócenia, pokuty i modlitwy. Ona poinformowała Mikołaja o karze, która miała nadejść: o wojnach i epidemii cholery. Matka Boska dała również nadzieję na cudowne ocalenie. Słowa Matki Boskiej wkrótce się spełniły. W 1852 r. wybuchła epidemia cholery i dzięki modlitwom przed tym obrazem ludzie otrzymywali łaski. We wrześniu 1852 r., obraz został umieszczony w kościele parafialnym w Licheniu.

Po zapoznaniu się z historią obrazu udajemy się do nawy głównej bazyliki. Trzeba powiedzieć, że całość robi duże wrażenie a my czujemy się w jej wnętrzu filigranowi. Na własne oczy widzimy Cudowny Obraz Matki Boskiej Bolesnej Królowej Polski w Licheniu.



W ramach pokuty przechodzimy za ołtarzem z wizerunkiem Matki Bożej a tam na ścianach wspaniałe wizerunki świętych wykonane z różańców. Pani przewodnik przyspiesza kroku a my wychodząc z bazyliki uważnie rozglądamy się, aby niczego nie przeoczyć.



Nad głównym wyjściem i w nawach bocznych sanktuarium widzimy największy w kraju zespół organów. Jak pani przewodnik mówiła: *Instrumenty mają łącznie 157 głosów i ok. 20 tys. piszczałek*. Rzut oka na witraże i na dzwon, który akurat pozwolił abyśmy usłyszeli jego donośny dźwięk. Wychodzimy przed Bazylikę na schody a stąd rozpościera się widok na Stary Licheń. Widzimy Golgotę i sanktuarium, z którego został przeniesiony Cudowny Obraz do bazyliki. Po schodach nie schodzimy i nie liczymy ile ich jest. Wierzmy na słowo, że są 33 stopnie. Stwierdzamy, że windą będzie bliżej. Przed bazyliką następuje pożegnanie z panią przewodnik. Do odjazdu autobusu mamy godzinę czasu. Dalsze zwiedzanie odbywa się w małych grupach z prędkością 60 minut na godzinę. Ruszamy w różne strony sanktuarium każdy według swoich możliwości. Jedni na taras widokowy wieży inni na Golgotę jeszcze inni chcą adorować Cudowny Obraz. Te 60 minut minęło prędzej niż jedna godzina i czas do autobusu. Tym razem kierowca wiedział jak nas odebrać abyśmy nie ryzykowali życiem na ruchliwej szosie. Uduchowieni wracamy z naszej pielgrzymki do Mikorzyna.

Po obiedzie czeka nas spotkanie z trenerem rehabilitacji przez choreoterapię.



W komplecie zjawiamy się na tych zajęciach i zastanawiamy się, co nas czeka. Krystyna z Konina przywiodła ze sobą trenera Wojciecha też z Konina. On miał nas nauczyć tej nowej techniki rehabilitacji. Najpierw teoretyczne wprowadzenie. Jak mówił nasze ruchy rąk i ciała choreograficznie mają być: „*pooo w w w ooo lll ne e e*” i „*płyynnne*” - jak byśmy byli „*nieeesieeeniii w pooo w i e t r z u u u*”, a nie w rytmie dyskoteki „*BUC! BUC! BĘC! BĘC!*”. Po opanowaniu teorii przeszliśmy do ruchów praktycznych i długo nie trwało jak Wojciech z Konina puścił do tego podkład muzyczny. Trzeba powiedzieć, iż nie wszyscy mogli opanować tak powolne ruch większość była usposobiona bardziej dyskotekowo. Nowe ruchy najszybciej i najlepiej opanowała Magda z Wojtkiem. We dwoje z zamkniętymi oczami uniesieni przez muzykę pulsowali niczym fale na Oceanie Spokojnym aż reszta zaniemówiła z wrażenia. Indywidualistka Julia zbojkotowała tę naszą muzykę, przyłożyła ucho do łona natury, postanowiła posłuchać co w trawie piszczy? A może wcześniej nawąchała się suszonej trawki a teraz legła na naturalnej trawce? Trudno w tej chwili znaleźć na to pytanie bezsporną odpowiedź.

Czas płynie nieubłagalnie i szkoda, że naszego czasu nie można cofnąć jak to robimy jesienią przesuwając zegarki z czasu letniego na czas zimowy. Godzina do tyłu i sprawa załatwiona. Tak najchętniej zrobilibyśmy na tym turnusie integracyjnym i cofnęlibyśmy zegary o kilka dni. Jedno jest

pewne, że tych wspólnie spędzonych dni nikt nie wymaże z naszej pamięci. Razem spędzony czas zaowocował nowymi przyjacielskimi kontaktami. Po tym turnusie wszyscy stwierdzili, że pomimo niepełnej sprawności możemy wzajemnie sobie pomagać. Śmiało powiedzmy: *Nie ma takiej niepełnosprawności, aby nie można pomóc innemu niepełnosprawnemu. Nieraz wystarczy jedno dobre słowo, które pomoże więcej niż góra leków.*

Na koniec wspólne zdjęcie do albumu rodzinnego.



To jeszcze nie koniec. Przecież dzień wyjazdu nie może obyć się bez porannej gimnastyki a zatem tradycji stało się zadość i gimnastyka była. Po śniadaniu jeszcze spacer nad jezioro. Później wspólnie podsumowaliśmy te kilka dni spędzonych razem. Na zakończenie popłynęły ciepłe i wzruszające słowa.

Teraz czekamy na autokar a że był to piątek trzynastego, więc przesądom trzeba wyjść naprzeciw. Autobus popsuł się a wszyscy przyjęli to z bardzo dużym spokojem.

Wreszcie jest autobus.



Przy pakowaniu do autokaru trzeba uważać żeby nie pomylić się i nie wsiąść do luku bagażowego. Wprawdzie miejsca byłoby dużo, ale jednak lepiej jechać na górze. Jedziemy do domu

Na koniec zadajmy sobie pytanie.

Czy taki wyjazd na imprezę integracyjno-rekreacyjno-turystyczną w ośrodku Wityng w Mikorzynie dokonał się sam jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki?

Odpowiedź jest prosta – NIE.

A zatem kto to sprawił, że mogła odbyć się taka impreza?



To nie czarodziejska różdżka wróżki tylko nasza Danusia swoją pomysłowością, pracowitością i wytrwałością dokonała rzeczy niemożliwej. Dzięki Jej zaangażowaniu wielu z nas mogło uczestniczyć w tej imprezie integracyjnej.

Przy tej okazji powiedzmy sobie, jaka jest Danka. Ona jest dobroczynna i łączy w sobie wszystkie cechy pracowitych pszczołek i mrówek a szyk i elegancja sprawiają, że jest godna królewskiego dworu.



Nie możemy pominąć niezastąpionej i nieocenionej Elżbiety. Była z nami wszędzie i jak matka swoje dzieci dopilnowała. Nie było jej ciężko położyć nas spać, a o poranku rozruszać wszystkich by mieli energię na cały dzień. Ona pilnowała, aby wszyscy weszli na pokład statku czy autobusu. Ela była przy każdym z nas.



Możecie mi wierzyć lub nie, ale ja wszędzie tam byłem. Na lądzie i na wodzie. W Licheniu na górze i na dole. Na wszystko miałem spojrzenie. Ze stołu szwedzkiego i z ogniska swojskiego smakołyki zajadałem. Trunki za kołnierz nie wylewałem a co widziałem wszystko Wam opowiedziałem.

Na koniec oświadczam – więcej nic nie pamiętam.

Impreza częściowo dofinansowana przez WIELKOPOLSKI URZĄD WOJEWÓDZKI i MOPR

Za co dziękują uczestnicy turnusu.